



# SYRENA

TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW — HEBDOMADAIRE DES POLONAIS LIBRES

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
20, rue Legendre, 20 — PARIS (17)  
Métro: Villiers Tel.: WAG 00-45

ROK XI — Nr 44 (499)

2 LISTOPADA — 2 NOVEMBRE 1957

CENA 30 fr.  
PRIX 30 fr.

Marian CZARNECKI

## U PODŁOŻA KRYZYSU FRANCUSKIEGO

Obecny, przedłużający się kryzys rządowy we Francji nastąpił w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Kreml jest w trakcie rozwijania brutalnej ofensywy na Środkowym Wschodzie, której wynikiem może być poważne wzmocnienie jego pozycji w tej części świata i w rezultacie groźba przerwania dopływu ropy naftowej na zachód przez spowodowanie zamknięcia Suez i rurociągów, przebiegających przez Syrię.

Stany Zjednoczone wreszcie zdecydowały się na wyraźne wzmocnienie więzów solidarności atlantyckiej, a więc na zakończenie samodzielnej polityki wobec świata arabskiego, która robiła tyle złej krwi we Francji i w Wielkiej Brytanii i której rezultaty nie okazały się do tej pory specjalnie błyskotliwe.

Ta manifestacja solidarności ograniczyła się do W. Brytanii, bo Francja jest sparaliżowana kryzysem.

Wewnątrz Francji sytuacja ekonomiczna pogarsza się z dnia na dzień, kasy państwowe zaczynają świecić pustkami, związki zawodowe, mimo braku rządu, rozpoczęły wielką akcję rewindykacyjną, kupcy i producenci prą w kierunku zwyższenia cen, i groźne słowo inflacja zaczyna padać coraz częściej z ust ekspertów finansowych.

Mimo tego Zgromadzenie Narodowe nie spieszy się i po pięciu tygodniach nie doprowadziło do ukonstytuowania się nowego rządu.

Co leży u podłoża tego stanu rzeczy? Pierwszym, ogólnym powodem jest przypuszczalnie wielopartyjny system francuski. Nowoczesny parlamentaryzm jest pochodzenia anglosaskiego, gdzie przy systemie dwupartyjnym zdawał on i zdaje doskonale egzamin.

Przy rozdrobnieniu partyjnym we Francji wybory do parlamentu nie wyłaniają zdecydowanej większości, która zapewniłaby stałość rządów na czas trwania kadencji izby ustawodawczej.

Ostatnie wybory z lutego 1956 roku dały wynik fatalny, gdyż w obecnej Izbie jest tylko jedna większość, „zamienna” — smutnej pamięci „frontu ludowego”, łączącego socjalistów, ra-

dykałów i komunistów. Jeżeli tę większość wyklucza się, to właściwie trudno zrozumieć, dlaczego Zgromadzenie Narodowe obala gabinety, gdyż z góry wiadomo, że nowy rząd zostanie wyłoniony przez tę samą większość.

Oto jak wyglądają w tej chwili ugrupowania (kluby) w Zgromadzeniu Narodowym:

Komuniści i progresiści	149 posłów;
Socjaliści	101
Niezależni (A. Pinay)	97
MRP (katolicy)	74
Pużadyci	30
Republikanie społeczni (b. gauliści)	21
Radykałowie spod znaku p. Mendès-France	44
Radykałowie-dysydenci	14
Ugrupowanie RGR (b. premier Edgar Faure)	13

UDSR (lewicowy ruch spod znaku F. Mitteranda i R. Plevena) 21  
Chłopi 11  
Niezależni z terenów zamorskich 7  
Bez przysięgi 14

Jeżeli z tej bogatej konstelacji wyłącza się komunistów i skrajną prawicę z pużadystami na czele, to od razu widać, że nie może powstać rząd bez udziału, albo co najmniej bez poparcia socjalistów.

Ale nie tylko to jest powodem słabości systemu parlamentarnego Francji. Jest inny powód, dużo poważniejszy. Jest nim cyfra 149 posłów komunistycznych i progresistów. Są to „dretwe” głosy Zgromadzenia Narodowego. Przy głosowaniu nad zaufaniem dla rządu głosy te liczą się, jeżeli są przeciw rządowi; przy głosowaniu nad

inwesturą nowego gabinetu wielu kandydatów na premierów publicznie ogłaszało, że głosów komunistycznych nie będzie liczyć w swojej większości. Stąd są dwa mierniki: raz bierze się pod uwagę całość Zgromadzenia Narodowego (zgodnie z konstytucją), drugi raz liczy się tylko głosy większości „narodowej”, jak niektórzy to określali.

Gdyby dziś w Zgromadzeniu Narodowym francuskim nie było tych 149 głosów, to przypuszczalnie Francja nie przechodziłaby tych ciężkich kryzysów, jakie przechodzi, bo w Izbie powstałaby prawdziwa i stała większość.

Może nowe wybory, zwłaszcza po tragicznej lekcji Węgier i przy lepszej ordynacji wyborczej niż ostatnia, zmienią ten układ na korzyść stronnictw, które rzeczywiście grupują się na lewicy, a nie na Wschodzie — jak nie tak dawno wyraził się b. premier i szef socjalistów francuskich p. Guy Mollet.

Marian CZARNECKI

Jerzy ROJAN

## Nie ma wiosny w październiku

Paryż, w październiku

WSZYSCY pamiętamy wypadki w październiku ub. r. w Polsce; znamy ich przebieg z radia i prasy krajowej, z głośnego echa entuzjastycznych okrzyków na ulicach i placach miast polskich, jakie dochodziło do nas na emigracji, z pism świata całego, które wówczas poświęcały całe kolumny wydarzeniom w naszym Kraju.

Od tych chwil upłynął właśnie rok. Zdawałoby się, że rocznica tej polskiej „wiosny w październiku” nie może przejść bez echa; że jeśli już nie na Zachodzie, to przynajmniej w Kraju będzie o niej głośno. Tymczasem przeszła ona prawie niepostrzeżenie. Przeszła bez dzwonów i trąb. Bez manifestacji ulicznych i akademii. Przeszła w nastroju niepokoju i trwogi całego narodu. Przeszła w zupełnej ciszy, przerywanej od czasu do czasu płaczem matki, której syn nie powrócił

z manifestacji studentów występujących w obronie wolności słowa.

W październiku tego roku było w Warszawie smutno i ponuro. Groźne chmury kłębiły się na horyzoncie politycznym. Naród z przerażeniem spostrzegł, że po „wiosnie w październiku” bynajmniej nie nastąpiło jeszcze piękniejsze lato, lecz zapanowała sroga zima. Przekonał się, że zeszłoroczna „wiosna” była tylko złudzeniem. Złudzeniem, któremu uległo również wielu z nas na uchodźstwie.

Dzisiaj na ogół to złudzenie przyszło. Tylko prasa krajowa usiłuje je częściowo podtrzymać, ale i jej się to nie bardzo udaje. Nawet urzędy optymistów niewiele z siebie potrafią wykręsać.

„Decyzję październikową — pisze krakowski „Tygodnik Powszechny” z 20.10. br. — rozumieliśmy w ten sposób, że Partia postanowiła wyjąć z beznadziejnego stanu konfliktu z narodem i — jak to było określane —

„przejść na stronę narodu”, to znaczy rozumnie pokierować koniecznymi i nieodwołalnymi procesami społecznymi. I na tym polegał rewolucyjny przełom. W Polsce jest teraz społeczeństwo i ono się liczy, a w systemie uprzednim nie liczyło się, a istniało tylko zduszonym i utajonym. I w tym sensie przełom październikowy jest ogromny i nie jest zmarnowany”.

Czy rzeczywiście reżym dzisiaj liczy się ze zdaniem społeczeństwa? Owszem, jeszcze trochę się liczy, ale tylko z obawy przed zaburzeniami. Demonstracje młodzieży akademickiej w Warszawie wykazały, że w dzisiejszej Polsce trudno jest znowu wprowadzić system zamordyzmu. Przynajmniej od razu. Ale wykazały one również, że reżym zdecydowanie na tę drogę wchodzi, że nie sobie nie robi ze stawianego sobie zarzutu, iż odchodzi od „października”. A ludziom, którzy się czują zawiedzeni i oszukani, „Kierunki”, organ oświatowego Bolesława Piaseckiego, dają w dniu rocznicy październikowej takie oto pouczenie:

„Z czego ten zarzut wypływa? Z całkowitego niezrozumienia kilku podstawowych prawd. Z niezrozumienia, że uchwały VIII Plenum nie są pewnym zbiorem hasel, z którego wybiera się jedne, a odrzuca się drugie, lecz socjalistycznym programem naprawy socjalistycznego państwa. Z niezrozumienia, że nie można opowiadać się za faktyczną suwerennością Polski nie opowiadając się jednocześnie za jej sojuszem z ZSSR. Że nie można utożsamiać słusznej krytyki błędów minionego okresu z negacją całego dorobku minionych lat. Że sprawiedliwej rehabilitacji tysięcy Polaków, walczących o Polskę w szeregach AK czy formacjach polskich na Zachodzie, nie można uważać za rehabilitację stojących za tymi ludźmi polityków. Że zmiana polityki na wsi nie będzie oznaczać zahamowania procesów postę-

Dokończenie na str. 2-giej

## SPRAWA ZUKOWA

B.D.I.C.

W CHWILI, gdy oddajemy numer niniejszy do druku, świat cały oczekuje w napięciu zapowiedzianego przez Moskwę komunikatu o powołaniu zastąpienia marsz. Zukowa na stanowisku ministra obrony przez marsz. Malinowskiego.

To oczekiwanie „wyjaśnień”, ta gorączka niepokoju i zniecierpliwienia, z jakimi od paru dni Zachód przeżywa „sprawę Zukowa”, są niewątpliwie rezultatem tej niezdrowej atmosfery, jaka wytworzona została wszędzie dookoła zagadnień sowieckich. Nie posiadając podstawowych bodaj informacji o tym, co się dzieje w Rosji, na Kremlu, w kierownictwie partii — przyzwyczajono się postugiwać domysłami, spekulacjami, pogłoskami. Nie trzeba chyba dodawać, jak na tym żerowali i żerują bolszewicy, którzy mają nieograniczone możliwości zasugerowania każdej wiadomości, każdego dla nich wygodnego poglądu.

Do kółka Zukowa powstała wskutek misternej kombinacji domniemań, spekulacji i inspiracji sowieckich cała legenda. Scisłej — mnóstwo legend. Dziś byłoby niemożliwością ustalić, kto pierwszy wymyślił ten cały nonsens o doniosłej roli i znaczeniu armii w ZSSR, że wszystkie bzdury o tym, jak to Chruszczow „likwidował” Motłowa, Kaganowicza i Malenkowa przy pomocy armii i Zukowa, te okropne idiotyzmy o rewolucyjnym, antykomunistycznym charakterze wojska sowieckiego. Jedni przyrównywali od drugich tak długo, aż sobie samym wmówili, że tak jest naprawdę. I teraz, gdy cała, tak misterna konstrukcja bujdy i głupstw wali się w gruzy — zaczyna się kłopot: jak to wszystko wytłumaczyć. A tłumaczyć nie ma właściwie co.

Armia nie odgrywa już od lat w ustroju sowieckim roli podmiotu, a jej dowódcy to przede wszystkim członkowie takich czy innych władz partyjnych. Armia jest narzędziem w ręku partii i takoby dojsz do głosu tylko w dwóch wypadkach: rozłam w partii, względnie przegranej wojny. Marszałkowie sowieccy — to przede wszystkim członkowie partii, którzy nie mają żadnych praktycznych możliwości dysponowania ani armią w całości ani nawet jej poszczególnymi jednostkami. W obecnej sytuacji łatwiej przyszłoby do poważnego buntu w każdej armii kapitalistycznej niż w armii sowieckiej. Nie trzeba ulegać wierutnym bajkom propagandy emigrantów rosyjskich, którzy usiłują (niestety, nie bez powodzenia) wmówić w swoich chlebobawców, że armię sowiecką można wygrać przeciwko partii.

Zukow zawdzięcza swą dotychczasową karierę... Zachodowi. Był on potrzebny Kremlowi w okresie 1953-56, gdy chodziło o uspokojenie „świata kapitalistycznego”, uspienie jego czujności, wmówienie, że oto armia sowiecka i jej generałowie, podobnie jak niektórzy generałowie zachodni, są rzecznikami pokoju i sprawiedliwości. Zukow miał wszelkie dane po temu, mimo że jego karta służbowa była kartą takiego samego zbrodniarza i zbira, jak i innych marszałków sowieckich. Ale wierzył się w to, w co chce się wierzyć, więc postarano się o wielu sprawach przyjaciele-Zukowa zapomnieć, a wielu innych (jak chociażby udział w rzezi węgierskiej) — nie widzieć. Natomiast chętnie uwierzono w dumwirat Chruszczow-Zukow.

W październiku 1957 r. sytuacja strategiczna świata, w jej sowieckim pojmowaniu, zmieniła się zasadniczo. Sowiewy ustaliły wobec narodów sowieckich bezwzględna swoją przewagę. Mają olbrzymią i doskonałą armię, mają lepszą technikę i lepszy sprzęt. Obojętne, jak jest naprawdę, ale ważne jest, że tak mają prawo mówić i każdy sowieciarz w noc bezchmurną ma możliwość to stwierdzić „gotym okiem” — dardzyszy łeb do góry. Ważne jest również, że „świat kapitalistyczny” wojując nie chce i robi wszystko, by wojny uniknąć.

Sowiewy mogą przejść do ofensywy. „Pokojujowej” naturalnie, to znaczy takiej, która już im wpędziła w jarzmo komunizm przeszło 600 milionów lu-

Dokończenie na str. 2-giej

JOZEF JASTRZEBSKI

NOWINKI LONDYNSKIE

## LONDYŃSKA PRASA POLSKA

NIE wiem, czy i w jakim stopniu Wy — tam, w Paryżu — orientujecie się, jak się przedstawia prasa polska w Londynie. Faktem jest natomiast, że ogół londyńskich Polaków nie ma o tym należytego, a niekiedy — żadnego pojęcia. Dlatego też sądzę, że garść informacji, które podaję niżej, mogą zainteresować czytelnika.

Zaczynam, ma się rozumieć, od „Dziennika Polskiego”, jedynego poza Polską polskiego pisma codziennego, o światowym zasięgu, jeśli nie liczyć dzienników amerykańskich.

Pełny jego tytuł brzmi: „Dziennik

Polski i Dziennik Żołnierza”, a wydaje go Fundacja Narodowa „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, na której czele stoi, jako pełnomocnik, dr Leszek Kirkiel. W skład fundacji wchodzi poza drem Kirkiel: Stanisław Baliński — poeta (z prawdziwego i wielkiego zdarzenia), dr Witold Czerwiński — publicysta, Juliusz Sadowski — pisarz-eseista. Członkiem fundacji był ambasador Tytus Filipowicz, zmarły przed kilku laty, oraz nieodżałowanej pamięci ppłk dypl. Antoni Bogusławski — poeta i pisarz, również obecnie nieżyjący.

Naczelnym redaktorem (z prawdziwego zdarzenia) jest Tadeusz Horko — przedwojenny dziennikarz. Sekretarzem redakcji — Mieczysław Obarski, b. przedwojenny dyrektor naczelnicy PAT'a, dziennikarz o wielkim doświadczeniu, który bez reszty poświęca się swym obecnym obowiązkom. Bezpośrednim jego współpracownikiem jest również przedwojenny dziennikarz — Antoni Drwesi. Trzecią kolumnę piśma redaguje — poza „Tygodniem w Londynie” — Mikołaj Szurski, były współpracownik PAT'a w Paryżu, jak i jego koleży redakcyjni, doświadczony i zdolny dziennikarz.

Osobną pozycję stanowi dr Aleksander Bregman, przedwojenny publicysta od spraw zagranicznych, obecnie — jeden z naczelników publicystów „Dziennika”, niezwykle odważny w wypowiedzianiu swych poglądów: tak wobec swoich, jak i wobec obcych. „Enfant terrible” jest Karol Zbyszewski, który redaguje m. i. „Tydzień w Londynie”. Wtajemniczeni twierdzą, że jemu wszystko ujdzie. Nawet jeśli w tekście swej rubryki zareklamuje bezpłatnie jakąś imprezę czy firmę, co na ogół jest surowo zakazane. Rzecz jednak w tym, że Zbyszewski nie uznaje i nie cierpi szablonu, no i dba, aby czytelnik nie zasnął przy czytaniu jego rubryki. Pisze (z rozmysłem!) jakąś bzdurę i cieszy się na myśl, że czytelnika poderwie przy jej czytaniu, że go to rozrusza. I osiąga swój cel. Ludzie się złością, ale czytają „Tydzień w Londynie” od deski do deski. Tak samo, jak rubrykę „Podłuchanie”, prowadzoną przez tajemniczego Bywalcę.

W skład redakcji nie wchodzi, lecz są jej stałymi współpracownikami: dr Ludwik Rubel, publicysta „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” w Krakowie (3 razy tygodniowo — artykuł wstępny), dr Zygmunta Nowakowski (tygodniowy felieton) i Antoni Jelenkiewicz (dział ekonomiczny ze szczególnym uwzględnieniem spraw krajowych).

Dokończenie na str. 3-ciej

Dr MARYA KASTERSKA

STO PIĘCDZIESIAT LAT TEMU

## Księstwo Warszawskie

JESZCZE przed traktatem tylicykim zaczęto urządzić trochę „na ład francuski” ziemie polskie odebrane Prusom w 1806 i 1807.

Stworzono więc naprędce Komisję Rządzącą, na czele której stanął ogólnie szanowany i znany z czasów Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3-go Maja prezes Stanisław Małachowski. Komisja miała 5 wydziałów, a każdy z nich posiadał swego dyrektora. Poza tym podzielono całe odzyskane terytorium na departamenty: warszawski, poznański, bydgoski, kaliski, płocki i białostocki; ten ostatni okrojono tro-

chę traktatem tylicykim na korzyść Rosji. Była to właściwie część dawnej, a raczej wówczas niedawnej jeszcze Rzeczypospolitej Polskiej, która przypadła przy rozbiorach Prusom.

Traktat z Tylicy ustanawiał z tych departamentów Wielkie Księstwo Warszawskie, unikając słowa „Polskie”, aby nie drażnić cara Aleksandra I, i oddawał je pod rządy dynastii saskiej w osobie Fryderyka Augusta, ówczesnego króla Saksonii. Należy dodać, że Polacy, pełni ufności w przyszłość, w potęgę i sympatię Napoleona dla Polski, liczyli przeważnie na to, że szczęście państwu będzie jedynie zawiązką przyszłej wielkiej i znowu silnej Polski.

Spodziewano się powrotu do Konstytucji 3-go Maja, z lekkimi zmianami. Gdy jednak Komisja Rządząca przybyła do Dreznia i stanęła przed Napoleonem, otrzymała dnia 22 lipca 1807 r., zamiast przywiezionej przez nią Konstytucji, inną, podyktowaną przez cesarza w ciągu godziny, a wypisaną później starannie przez ministra Maret, księcia Bassano. Nowa ta konstytucja, w której nie można już było nic zmieniać, pozostawiała pra-

Dokończenie na str. 3-ciej

## SANKCJE

JAK podaje warszawska „Trybuna Ludu” (nr z 17.10.55), „Zespół Orzekający Komisji Kontroli Partyjnej”, do którego na podstawie specjalnej uchwały KC PZPR weszli dodatkowo Franciszek Blinowski, Marian Naszkowski i Jerzy Sztachelski, członkowie KC kompartii, rozpatrzyli sprawę członków partii pracujących w zespole „Po prostu” i w dniu 16 października br. wydał orzeczenie.

Andrzeja Berkowicza, Stanisława Chelstowskiego, Jolantę Chelstowska, Włodzimierza Godka, Eligiusza Lasotę, Ryszarda Turskiego, Ryszarda Wiśniewskiego, Edmunda Gonczarskiego i

## SESJA RADY EUROPY W STRASBURGU

W dniach 16 do 30 października br. obradowało w Strasburgu Zgromadzenie Doradcze Rady Europy na drugiej części swej VIII sesji. Jako przedstawiciele Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujzarnionych (ACEN) udali się do Strasburga pp. Paul Auer, b. ambasador węgierski w Paryżu i członek Węgierskiej Rady Rewolucyjnej, oraz Adam Ciolkosz, przewodniczący Egzekutywy Zjednoczenia Narodowe-

Wiesława Szyndlera wykluczono z partii „za odejście od ideologii socjalistycznej, grupową walkę z linią partii, publiczne protestowanie przeciw uchwałom instancji partyjnych i branie w obronę nielegalnych demonstracji”.

Romanda Zimanda wykluczono z partii „za odejście od ideologii socjalistycznej i udział w grupowej walce z linią partii”.

W cytowanym „orzeczeniu” czytamy, że „wszyscy wyżej wymienieni, mimo różnorodnych przeprowadzonych z nimi w Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, nie zrewidowali swych antypartyjnych poglądów”.

Annie Bratkowskiej, Edwardowi Hołdzie, Tadeuszowi Jaszczkowi, Jerzemu Kossakowi i Zbigniewowi Sufinowi udzielono nagany z ostrzeżeniem — „uwzględniając częściową próbę rewizji popełnionych błędów”; Witoldowi Wirpszy udzielono tylko nagany.

Natomiast nie wyciągnięto żadnych konsekwencji w stosunku do Barbary Kałamackiej, a to w związku z tym, że „przez dłuższy czas nie brała ona udziału w pracach zespołu, a w oświadczeniu złożonym CKPP zajęła krytyczną postawę wobec antypartyjnej działalności zespołu redakcyjnego „Po prostu”.

RP 2156

W. J. G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

# Dwugłos anglosaski

Ujawnienie poważnych osiągnięć uczonych sowieckich, zmanifestowane przez uruchomienie w dniu 4 października pierwszego sztucznego satelity, zostało odczytane w Stanach Zjednoczonych jako porażka, a wszędzie na Zachodzie — jako groźba. Liczono na to na Kremlu, ale mimo zbieżności punktu wyjścia, dalsze reakcje welnego świata poszły po liniach wręcz przeciwnych do przewidywań sowieckich.

Wbrew krzykliwemu larum sowieckiej propagandy, nie zanotowano w reakcji Zachodu ani defetyzmu, ani paniki, ani skłonności do wyłamania się z więzów solidarności. Konkretnym tego wyrazem stała się konferencja mocarstw anglosaskich, odbyta na najwyższym szczeblu i zakończona w Waszyngtonie w dniu 26 października. Ogłoszony komunikat końcowy daje dość pełny obraz zamierzeń.

Ustala on przede wszystkim, że dla zapewnienia wolności i korzystania z jej owoców potrzeba, aby zbrojowa potęga militarna narodów wolnych była dostateczna dla przeciwstawienia się zagrożeniu. Jednocześnie, suma globalna wydatków wojskowych wolnego świata zamykać się musi w granicach pozwalających na zachowanie swobód indywidualnych, gdyż w wypadku przeciwnym groziłaby nam utrata wolności, której właśnie pragniemy bronić.

Podkreślając następnie, że w formie ostatecznych wniosków wziął udział sekretarz generalny Atlantycznej Wspólnoty Obronnej, min. belgijski Spaak, komunikat podaje je w następującej kolejności:

Zważywszy, że żaden naród nie może być dziś samowystarczalny, tylko wspólność wysiłków poszczególnych narodów i odpowiedni podział prac mogą zapewnić postęp w dziedzinie bezpieczeństwa narodów wolnych.

Oba mocarstwa anglosaskie domagają się będą wzmożonego wysiłku państw Wspólnoty w dziedzinie badań naukowych.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zwrócił się do Kongresu o dokonanie zmian w ustawie o energii atomowej, a to celem umożliwienia ścisłej i owocnej współpracy uczonych i techników W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych i innych państw zaprzyjaźnionych.

Propozycje rozbrojenia, zgłoszone przez przedstawicieli Zachodu i zaprobowane przez wszystkie państwa Wspólnoty Obronnej, stanowią poważną i słuszną podstawę dla układu mogącego odstąpić groźbę wojny i zmniejszyć ciężar zbrojeń. Możliwość skutecznej i niezawodnej inspekcji winna być częścią składową pierwszego stadium kontroli i ograniczenia wysiłków zbrojeniowych.

Dopóki rozbrojenie nie nastąpi, dopóty należy poszukiwać bezpieczeństwa międzynarodowego przez działania kolektywne, zgodne z Kartą Narodów Zjednoczonych. Gdy Związek sowiecki uniemożliwi jej swoim veto, trzeba szukać dróg innych. Mocarstwa anglosaskie, posiadające broń atomową i możliwość odwetu, uważają się za gwarantów obrony wolnego świata.

Dla przedyskutowania sformułowanych w ten sposób wniosków ze wszystkimi uczestnikami Wspólnoty Atlantycznej zebranie, projektowane na grudzień w Paryżu, ma się odbyć na „najwyższym szczeblu”, tzn. z udziałem szefów rządów i Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przypominając następnie celowość i użyteczność szeregu wspólnot obronnych wolnego świata (np. paktu bagdadzkiego), komunikat podkreśla swoją życzliwość dla prac mających na celu zjednoczenie Europy. Niemal uroczysto, wobec pogroźek sowieckich, komunikat stwierdza wolę obu mocarstw anglosaskich ścisłego dochowania zobowiązań do obrony Turcji.

W sumie, przytoczone przez nas wyniki narad w Waszyngtonie mają jedną, szczególnie znaczącą cechę wspólną. Są one zdecydowanie przeciwstawne dezyderatom i tezom sowieckim w tym samym zakresie. Nikomu nie zrobiła przyjemności na Kremlu zamiar ścisłej niż dotąd współpracy naukowej czy politycznej Zachodu oraz ustępstwa w tym względzie ze strony Stanów Zjednoczonych. Tezy rozbrojenia oraz podtrzymanie prymatu kontroli i inspekcji są w dalszym ciągu nie do przyjęcia przez Sowietów. Co więcej, na groźbę ze strony Chruszczowa mocarstwa anglosaskie odpowiadają również groźbą odwetu i zobowiązują się do obrony Turcji.

Nieprzychylnie dla Kremla tendencje podkreślają jeszcze dwa sformułowania, czysto polityczne.

We wstępie — mocarstwa anglosaskie podkreślają, że nawet despotyzm zmuszony jest do ustępstw na rzecz wolności, co prowadzi do nieuniknionego rozkładu samego reżymu. We wnioskach — następuje raz jeszcze przypomnienie, że w 1955 r. Chruszczow i Bułganin wyrazili swoją zgodę na zjednoczenie Niemiec w drodze wolnych wyborów. „Staje niedotrzymywanie tego układu” — głosi komunikat — „a także przekreślenie wolności w Europie Wschodniej podrywają mię dzynarodowe zaufanie i utralają mię sprawiedliwość, szaleństwo i niebezpieczeństwo”.

Przemawiając w ten sposób do Chruszczowa jego własnym językiem dyplomatycznym mocarstwa anglosaskie postulują osiągnięcie trwałego pokoju bez udziału Sowietów, a nawet wbrew Sowietom. Jest to nuta nowa, ale na pewno użyteczna, bo w bliższym z rzeczywistością związku, niż

wszelkie odprężenia, czy koegzystencje.

Z punktu widzenia realizmu politycznego ostatnie sformułowania mocarstw anglosaskich stanowią krok naprzód. Brak im jednak należytego ustosunkowania do wagi zagadnień szczególnie nas obchodzących. Wysiwnie na czoło aktualności spraw Bliskiego Wschodu jest dziełem Sowietów, którym całkowicie dogadza odwrócenie uwagi od zagadnień Europy wschodniej. W rzeczywistości, dla rozgrywki pomiędzy światem wolnym a komunistycznym, to, co się dzieje w Europie środkowej czy na Bałkanach, jest nieporównanie ważniejsze od zdarzeń w Azji czy Afryce, bo bezpośrednio oddziałują na stan rzeczy w samej Rosji sowieckiej. Kilkakrotnie mieliśmy już tego dowody i ciągle należy o tym pamiętać.

Dobrze będzie także, jeśli w rozmowaniach Zachodu przestanie się uważać Tite za wyraz rzeczywistości jugosłowiańskiej, Kadara za wyraziela Węgier, a Gomułka za wcielenie Polski. Wszystkie tego rodzaju postacie mają swoje oparcie w przemocy, stanowiącej zniekształcenie rzeczywistości, dla gruntuwania zaś wolności są nie tylko nieużyteczne, ale nawet niebezpieczne. Świat wolny musi pogodzić się z prawdą, że wśród narodów ujarzmionych działać można tylko poza reżymem.

W. J. G.

# Tragiczna sytuacja inteligencji w Polsce

W krakowskim „Tygodniku Powszechnym” (z 13.10. br.) ukazał się artykuł obrazujący tragiczną sytuację, w jakiej znajduje się w Polsce młoda inteligencja, która nie ma możliwości zdobycia sobie kawałka chleba. Artykuł ten, o znamienym tytule „Czy warto się uczyć?”, drukujemy poniżej w całości:

„Ostatnimi czasy mówi się wiele o nadprodukcji inteligencji. Młodzież kończąca studia objęła już fala historii, że nie warto się uczyć, że po co ślepczyć nad książkami — kiedy pracy i tak się nie dostanie. Jest to często nie tylko choroba wyobraźni, lecz smutny fakt, gdyż absolwenci filozofii, filologii, historii ogólnej i historii sztuki szukają pracy w swoim zawodzie bezskutecznie. Nieliczni szczęśliwi, z cenzusem magistra idą na wieś uczyć dzieci w szkole podstawowej. Bardziej pechowi uczą się pisać na maszynie i zasad księgowości, by wyłączyć w jakimś biurze przemysłu

drzewnego lub przy kantorku w aptece: Inni, którzy nie ulegają załamaniu i dzielnie potrafią znosić trudy żywota studenckiego, zapisują się na medycynę lub politechnikę — (Vide: artykuł Zdzisława Romanowskiego: „Czy dyplom oznacza bezrobocie?” Tygodnik Zachodni, nr 46).

„Jeszcze w przykrzejszej sytuacji niż studenci filologii i historii znajdują się absolwenci szkół artystycznych. Szkoda, że o tych sprawach mówi się tak niewiele. Absolwenci Wyższej Szkoły Muzycznej — i to ci co zdolniejsi — czekają całymi laty na parę zleconych godzin lekcji w którejs z szkół

muzycznych. Są szczęśliwi, jeśli mogą zarobić trochę grosza wyjeżdżając na prowincję z Moniuszką lub Karłowiczem. W efekcie koncerty te traktują wyłącznie zarobkowo, marnując swoje kapitały entuzjazmu dla dobrej muzyki.

„Przyszłość artystów kończących Akademię jest jeszcze mniej wesoła. Długie miesiące wycierania parkietów po zakładach pracy i ironiczne uśmieški ludzi przeglądających papierki dyplomowe, które nie mają żadnego znaczenia. Jeśli ktoś żyje dobrze z profesorem, który gdzieś tam maluje kościół, to ma jeszcze nadzieję, że coś i dla niego się znajdzie!

„W czasie wakacji to jeszcze pół biedy. Można wypożyczyć salę w Akademii i zakosztować rozkoszy ciężkiej pracy fizycznej nad ręcznym malowaniem spódniczek, które nie znajdują odbiorców przywycieczających do brzydkich wyrobów naszego przemysłu włókienniczego.

„A przecież tak niewiele potrzeba: trochę dobrej woli władz miejskich, by przydzielić tym młodym ludziom jakiś lokal, gdzieby mogli powstawać eksperymentalne warsztaty włókiennicze, które są tak nieodzowne, aby cokolwiek mogło się zmienić w naszej codziennej estetyce życia — ubierania się, mieszkania...

„Z pedagogami i absolwentami humanistyki dopóty będzie nienajlepiej, dopóki się nie rozbuduje szkolnictwo średniego. Obecnej sytuacji „nadprodukcji” humanistów nie rozładuje się ani posłaniem kilku setek nauczycieli na emeryturę, ani też usunięciem pewnej części personelu pedagogicznego niedostatecznie przygotowanego do pracy w szkole. Powinno się przyjąć zasadę, że w szkole średniej uczą tylko nauczyciele z wyższym wykształceniem.

„Nie jest również dobrze, kiedy jeden człowiek zajmuje kilka etatów. Oczywiście, że etaty nauczycieli są głodowe, i że dodatkowe zajęcia są konieczne, aby móc zatać miesięczne dziury w budżecie rodzinnym. Niemniej należy raczej dążyć do podniesienia poborów nauczycieli, zostawiając im więcej czasu na rzetelne przygotowanie się do lekcji, niż wykańczać ich psychicznie i fizycznie łączeniem wielu funkcji w różnych zakładach pracy.

„Jednolity system zatrudnienia absolwentów szkół średnich i wyższych, o którego dobrodziejstwach tyle mówiono (każdy szuka pracy na własną rękę, ma pełną możliwość wyboru miejsca i zakładu pracy oraz swobodę jej zmiany) w rezultacie nie jest lepszy od obowiązujących w uprzednim okresie nakazów pracy. Korzystne to jest tylko dla zakładów pracy, które same decydują o doborze pracowników z odpowiednimi kwalifikacjami. Dla zakładów pracy znika wreszcie smora ludzi nadawanych, z którymi nie wiadomo było, co zrobić”.

Wydaje się, że niezbędne są wszelkie komentarze.

# Nowe programy szkolne

W następstwie zapowiedzi, ponawianych kilkakrotnie przez Wł. Bieńkowskiego, popadziernikowego ministra Oświaty w Polsce, wprowadzone zostały w nowym roku szkolnym 1957/58 zmiany do podręczników i programów nauczania. Nowe zmiany wprowadzono do tych przedmiotów i klas, „gdzie to było konieczne i możliwe”, natomiast stosuje się instrukcje do dotychczasowych programów tam, gdzie te „zmiany i poprawki były mniejsze i gdzie dotychczasowe programy mogły być pozostawione na okres przejściowy”.

Dotychczasowe programy — jak to oświadczył Bieńkowski („Głos Nauczycielski” — nr. 20-57 r.) — były opracowywane w płaszczyźnie aktualnych potrzeb. „Fatalnie zaciężyła na nich błędna teza, że obywatela wychowuje nie szkoła z jej założeniami i metodami pedagogicznymi, ale zespół środków, którymi dysponuje propagandą... Okres miniony pozbawił nauczyciela i szkołę — jako jednostkę — samodzielności. Każdy usiłował kurczowo trzymać się programu, podręcznika, przepisów i instrukcji z góry. Teraz musimy zacząć na nowo, musimy sami siebie poddać reedukacji, program musi być kanwą, na której nauczyciel całkowicie samodzielnie musi realizować treść poznawczą i wychowawczą”.

Nowe programy, według informacji prasy („Głos Nauczycielski” — nr 27-28-57 r.), wprowadzono całkowicie lub częściowo w 9 przedmiotach: język polski, język rosyjski, historia, nauka o Polsce współczesnej, matematyka, fizyka, chemia, biologia, geografia. Instrukcje wprowadzono w zakresie języka niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Razem nowe programy wprowadzono całkowicie lub częściowo w 27 klasach, instrukcje programowe w 17 klasach. Nie zmieniono natomiast programów z różnych przedmiotów w 31 klasach.

„Realizacja tych programów — pisze „Trybuna Ludu” w nr. 268/57 r. — zwłaszcza programów języka polskiego i historii, wymaga poważnego wkładu pracy i wysiłku ze strony uczących... W programie dla klas licealnych, wypranych obecnie ze sloganów hasel, znaleźć można bodajże tylko raz jeden wyraz „socjalizm”. Ten fakt nakłada na nauczycieli obowiązek specjalny, bo przecież program służy wychowaniu ludzi, gotowych do czynnego współdziałania w budownictwie socjalizmu. Taki jest dobór utworów, że rzeczą nauczyciela jest te właśnie elementy wydobyć.

Z tych i dalszych wypowiedzi „Trybuna Ludu” na temat nowych programów szkolnych i podręczników odnieść można wrażenie, że pismo to nie bardzo jest zadowolone z dokonanych reform.

Krakowski „Tygodnik Powszechny” (22.9.57) pisze na temat nowych programów szkolnych m. in.:

„Nauczycielstwo na pewno z wielkim zapałem będzie się starało realizować nowe programy, pod wieloma względami oczyszczone ze schematów i fikcji. Nasuwają się jednak pewne obawy odnośnie najmłodszych sił nauczycielskich pracujących przede wszystkim w szkołach podstawowych. W zakładach kształcenia nauczycieli panowały przecież te same metody, które wypaczały nauczanie i wychowanie w szkole... Powstaje pytanie, jak ci młodzi nauczyciele będą dawali sobie radę z nowymi programami? Wydaje się, że dla nich będzie potrzebne dodatkowe przeszkolenie”. (FEP).

# Polityka «stu kwiatów»

W numerze 212/57 r. dziennika „Głos Pracy” niejaki M. Ziemiński wyjaśnia, że słynny slogan chińskiego przywódcy, Mao Tse-Tunga: „Niech rozkwitą sto kwiatów — niech ściera się ze sobą sto szkół myślenia” był fałszywie do niedawna interpretowany.

Sięgając do genezy hasła, autor stwierdza, że dotyczy ono wyłącznie spraw kulturalnych, a mianowicie pa-

do po raz pierwszy w odniesieniu do... chińskiej opery. Autor dodaje:

„Z biegiem czasu hasło „stu kwiatów” obejmowało swoim oddziaływaniem również i inne dziedziny kultury i sztuki. W końcu Mao Tse-Tung, w swoim słynnym wystąpieniu w lutym b.r., obowiązuje już w praktyce hasło „stu kwiatów” utwierdził autorytetem kierownictwa partii, uzupełniając jego botaniczno-kulturalną część nową częścią polityczno-naukową: „Niech się ściera ze sobą sto szkół myślenia”.

Zdaniem autora, późniejsze komentarze prasy różnych krajów poszerzyły zbytnio to zagadnienie i nadały mu fałszywą interpretację.

Dla ostatecznego wyjaśnienia sprawy M. Ziemiński powołuje się na źródła chińskie.

Otóż kierownik biura prasowego CK KPCh — Liau Gau-liun w wywiadzie z dziennikarzem niemieckim, Krauszem, podkreślił bardzo stanowczo:

„Nigdy nie rozumieliśmy pod pojęciem ścierania się różnych szkół i kierunków w dziedzinie sztuki i nauki, prawa do uprawiania agitacji skierowanej przeciwko rewolucji”.

Mówiąc o twórczości literackiej i o prasie pod rządami hasła „stu kwiatów” Liau Gau-liun zastrzegł się:

„Nie chcemy lakiernictwa, ale i malowania na czarno, które pod pretekstem pokazywania niedostatków ogranicza się wyłącznie do ich prezentowania, przemilczając nasze sukcesy, postępy i perspektywy. Więc, naturalnie, istnieją granice dla wolności prasy i twórczości literackiej. Natychmiast przestaje obowiązywać zasada wolności w stosunku do tego, kto usiłowałby szerzyć idee reakcyjne, wymierzone przeciwko socjalizmowi”.

Jak widać, interpretacja ta nie odbiega daleko od sformułowań z okresu Stalina. Ostatnie represje reżymu Gomułka przeciw tygodnikowi „Prostu” wyraźnie wskazują, że i Gomułka podobnie, jak komuniści chińscy, nie uznaje swobody prasy.

# ŻUKOW

Dokończenie ze str. 1-ej dzi. „Przyjaciel-Zukow” na nie im już nie jest potrzebny. Może tylko przeszkadzać.

Jest zgoda obojętne, jaki los spotka Żukowa. Może go zrobią tym, a może kim innym, a może, jeżeli okaże się, że trzeba zwałić na niego za coś tam odpowiedzialność — powieszają. To jedno jest pewne, że nikt się o niego w ZSRR nie upomni, podobnie jak nikt nie upomniał się o Berię, Molotowa, Kaganowicza i Malenkowa, jak jutro nikt się nie ujmie za Chruszczowem czy Bułganinem. Mit o „popularności” Żukowa w armii jest taką samą bzdurą, jak mit o wszechpotędze armii.

Ważne jest natomiast to, że na miejsce Żukowa został mianowany Malinowski. Ten nie jest czyimkolwiek „przyjacielem” i do rozhorów o pokojowych sentymentach raczej nie skory. Jest to jęgotność, który od kilkunastu lat specjalizuje się w sprawach strategii azjatyckiej. Był doradcą w wojnie koreańskiej, był doradcą Mao-Tse-tunga i, właściwie, on jest twórcą armii chińskiej. Armii, która za kilka lat będzie nie mniejszym utrapieniem dla świata, niż dziś jest armia sowiecka.

„Wytworne” i „subtelne” oblicze Malinowskiego nie nadaje się do czułych uśmiechów. Nominacja jego jest wiele znacząca. Chruszczowowi i jego całej kompanii stalinowców trzeba przyznać, że doskonale opanowali zasadę stalinowską: właściwy człowiek na właściwym miejscu. Pocięzać się można tylko tym, że w pewnym momencie ta zasada obróci się i przeciwko samemu Chruszczowowi.

J. N.

# Moskwa atakuje czasopismo warszawskie

W jednym z ostatnich numerów moskiewskiej „Literaturnoj Gazety” ukazał się artykuł p.t. „Czyje są to opinie?”, atakujący kwartalnik warszawski „Opinie”, który jest organem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Informując o tym, „Życie Warszawy”

## CENTRALNY KOMITET ZAGRANICZNY P.P.S.

Wybrany na dopiero co odbytym IV zjeździe PPS na obczyźnie Centralny Komitet Zagraniczny PPS ukonstytuował się na swą nową kadencję, wybierając p. Jana Kwapińskiego przewodniczącym, p. Stanisława Wąsika zastępcą przewodniczącego, p. Stefana Grota sekretarzem i p. Stanisława Górkę skarbnikiem.

w nr 231/57 r., pisze: „Artykuł redakcyjny „Literaturnoj Gazety” o stro muzykę treść pierwszego numeru, poświęconego kulturze radzieckiej... Radzieckie pismo zarzuca redakcji kwartalnika, że kierując się niejasnymi przesłankami wybrała do pierwszego numeru utwory w większości stare i częściowo dawno zapomniane”.

„Literaturnaja Gazieta” podnosi, że kwartalnik „Opinie” celowo pragnął ukryć „prawdziwe osiągnięcia poezji radzieckiej, polecając uwadze czytelników utwory M. Cwietajewej i Mandelsztama...” Ostro skrytykowane również artykuł Fedckiego pt. „Dzień poezji”, w którym autor robi — zdaniem „Literaturnoj Gazety” — „wszystko, aby ganic współczesną poezję radziecką. Z Fedcki wynajdując w niej wszystkie wady i niedostatki, wyciąga kategoryczny wniosek: „nie ma dobrych wierszy”.

Sowieckie pismo krytykuje rów-

nież dział prozy i materiały informacyjne, których autorzy na łamach „Opinii” rzekomo skupiają uwagę na niedostatkach radzieckiej literatury i sztuki, wyolbrzymiają rzeczywiste wady, starając się wszelkimi środkami sugerować czytelnikowi polskiemu przekonanie, jakoby kultura radziecka „już w ciągu wielu dziesięcioleci przeżywała upadek”. „Te imaginacje — stwierdza pismo — i umyślny dobór utworów stwarzają przewrotny, zniekształcony obraz literatury i sztuki naszego kraju”.

„Życie Warszawy” nie zgadza się z oceną „Literaturnoj Gazety”, stwierdzając m. in.: „Nie wydaje się nam, aby pierwszy numer „Opinii” zasługiwał na tego rodzaju zarzuty”. Niebawem — jak zapowiada „Życie Warszawy” — ukaze się następny numer kwartalnika, w którym redakcja zajmie stanowisko wobec napaści „Literaturnoj Gazety”. (FEP).

# Nie ma wiosny w październiku

Dokończenie ze str. 1-ej pu społeczno-gospodarczego... Z niezrozumienia wreszcie tego, że październik nie był pierwszym krokiem zmierzającym do odejścia Polski z drogi socjalizmu, lecz tylko wyprostowywaniem tej drogi i początkiem uprzątnięcia leżących na niej kłód i kamieni”.

Tak pisze pismo „katolickie”. To samo pisze komunista Jerzy Piórkowski, który w „Nowej Kulturze” (również 20.10. br.) peroruje:

„Październik trwa, bo żyją, działają i rozwijają się siły społeczne, które dokonały owego przełomu. Dlatego nie ma i nie może być odwrotu od Października. Podobnie jak nie ma i nie może być odwrotu od socjalizmu w naszym kraju. Dlatego próby obrzydliwej w rzeczywistości, wszelkie nowe próby „wewnętrznej emigracji” z subiektywnych, choćby uczynnych, bolesnych powodów — są nieodpowiedzialne i niepoważne”.

Te słowa nas wcale nie dziwią. Nigdy nie mieliśmy żadnych złudzeń. Już rok temu, bezpośrednio po wypadkach październikowych, pisaliśmy, że to kompartia wygrała, a nie na-

rod. Twierdziliśmy, że rewolucja rozpoczęła w czerwcu w Poznaniu załamała się w październiku w Warszawie. Naraziliśmy się wówczas na zarzuty ze strony różnych głuptasów emigracyjnych, że krzeczemy, że patrzyliśmy na wydarzenia przez czarne okulary, że nie chcemy dojrzeć zarysowujących się przemian, że po prostu wprowadzamy czytelników „Syreny” w błąd. Dzisiaj, niestety, wypadki nam właśnie przynajmniej rację, a nie tym emigracyjnym pseudo-badaczom stosunków w Polsce, którzy tak łatwo zapomnieli o czerwcu i tak gorąco okłaskiwali październik.

Ale zwycięstwo komunizmu w październiku nie przyszło tak łatwo. „Dostosowanie polityki partii na VIII Plenum do wymogów sytuacji nastąpiło, można powiedzieć, w ostatniej chwili, ale pozwoliło partii na stopniowe odzyskanie inicjatywy, co miało pierwszorzędne znaczenie dla socjalistycznego rozwoju kraju” — przyznaje dzisiaj warszawska komunistyczna „Polityka” (nr 34 z 16/22 października br.).

Proces jednak rewolucyjny, który się rozpoczął w czerwcu ub. r. w Poznaniu — wciąż trwa. Umiejętą taktyką kompartii, zastosowaną w październiku ub.r., doprowadziła wprowadzenie do załamania się rewolucji, ale całkowicie jej stłumić nie zdołała. Toteż przedwczesna jest radość warszawskich komunistów. Tak czy inaczej, powrót do czasów sprzed powstania poznańskiego jest zupełnie wykluczony. Reżym wie o tym najlepiej. I dlatego nie wyciąga jeszcze zbyt optymistycznych wniosków, uważając, że wnioski takie byłyby stanowczo przedwczesne. Reżymowy minister Władysław Bieńkowski w warszawskim „Przeglądzie Kulturalnym” (nr 42 z 17/23 października br.) wykazuje pod tym względem jak najdalej idącą ostrożność:

„Wydaje mi się — pisze on — że na podsumowanie Października w jakiś sposób odpowiedzialny jest dziś gruby za wcześniej. Dodatkowym momentem jest fakt, że ostatnie dni stworzyły atmosferę utrudniającą spokojną analizę tego zagadnienia”.

Otóż to właśnie... Jerzy ROJAN

HENRYK CZESŁAW SLIWIŃSKI

# WIDOKÓWKA Z RZYMU

II

Rzym, w październiku

W żadnym chyba mieście nie słyszałem tylu opowiadań o ukrytych skarbach, jak właśnie w Rzymie. Dziekiolwiek by się człowiek tylko nie ruszył, już deptał po klejnotach. Poznałem podczas moich „rzymskich wakacji” pewnego zamożnego adwokata, który stale twierdził, że w S. Vito Romano, gdzie posiada ogromny majątek, jest takie miejsce, z którego w nocy, widząc za jednym razem siedem miasteczek, stoi się na zakopany skarbie. Kiedy zaprosiłem mnie pewnego dnia do swojej luksusowej willi właśnie w owej miejscowości, odległej od Rzymu o jakieś sześćdziesiąt kilometrów, jeszcze tego samego popołudnia, udałem się w kierunku Belligry, uceplonej skalnego grzebienia, niczym orle gniazdo.

Prawie zapominałem o rewelacjach mojego dowcipnego amfitriona, delectując się krystalicznym powietrzem (właśnie przeszła huraganowa, letnia burza) i wonią zmoczonego siana, kiedy z tego stanu przebudził mnie, drogą telepatii może, głos adwokata: „Da dove si vede sette paesi...” (Skąd widać siedem miasteczek). Spadłem na ziemię rzeczywistości, jak kamień. Zatrzymałem się wzdłuż drogi i zacząłem liczyć miasteczka: Olevano Romano, Anagni, Ciciliano, S. Vito Romano, Pisoniano, Colferro... Colle... a gdzie jest do licha to siódme miasteczko? Ach! prawie wykrzyknąłem z satysfakcją! Capranica. No tak, ale cóż z tego? Była zaledwie szósta wieczorem; po drugie, miejsce, z którego widziałem owe przepiękne miasteczka, otoczone średniowiecznymi murami, znajdowało się w pośrodku asfaltowanej drogi.

Rozczarowany miałem już zamiar zawrócić, kiedy usłyszałem dzwony w dolinie. Zapomniałem o dobrodusznym adwokacie, którego kuzyn znalazł w nogach starego stołu, odziedziczonym po jakiejś ciocie, kilkadziesiąt złotych monet; przed moimi oczami stał średniowieczny cud, nieknięty, zdawałoby się, cywilizacji dwudziestego wieku, spowity w legendę minionej świetności.

Capranica piętrzyła się ku szafirowemu niebu, nasyconemu płomieniem zachodu, jak miedziorz. Góry zdawały się być nakryte turkusowym płaszczem. Na romańskiej wieżycie kościoła św. Błażeja w S. Vito, łśnił krzyż w ostatnich blaskach słońca, jak diamentowa gwiazda. Na odosobnionym wzgórzu odcinał się kręgiem dostojnych, piramidalnych cypresów, wiejski cmentarz. Usiadłem na przydrożnym kamieniu. Spadło mi na głowę kilka kropel wody, nie wiem, skąd i dlaczego; gdzieś, w zaroślach, zaśpiewał słowik; brzęczały jeszcze natrętnie cykady; szedł z oddali głos człowieka, pracującego w winnicy; poczułem zapach świeżo upieczonego chleba.

Nie umiałem ściszyć mojego serca, napelniającego się nagłym wzruszeniem. Przez chwilę mocowałem się z nim po bohaterku. Potem podniosłem się i spojrziałem w głąb ogromnej doliny, zwięzającej się ku zachodowi; na skalistej, nagiej górze, widniał klasztor polskich Zmartwychwstańców, a trochę niżej — Zamek w Ciciliano, należący do starej, książęcej rodziny Theodoli. A jeszcze dalej, na zielonej łące, stał fragment czerwono-różowego akweduktu, który już nigdy nie miał dotrzeć do Rzymu...

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, powiada stare przysłowie, a chyba ta z S. Vito to najprostsza i najbardziej malownicza. Kiedy wygodnym fiałem „millequatro” wjeżdżałem w mury Wiecznego Miasta, serce łotało mi w piersiach, jak w latach młodości, gdy wracałem z wakacji do mojego rodzinnego miasta, do Krakowa. Zapomniałem o cuchnącej zgnyłymi jajami Acque Albule pod Tivoli i o zabitym kocie w pobliżu Porta Magiore. Rzym tonął w pyłe zachodzącego słońca, a nowoczesny dworzec na Piazza Cincquecento nie wyglądał znowu tak bardzo nowoczesnie; był po prostu sympatycznym dinozaur, jakim niedziedziemu wdziału i wigoru.

Poprosiłem uprzedniego leca jakże prozaicznego adwokata, by wysadził mnie przy szczątkach murów Serviana, wydzierających się dzielnie żarliwym zuchwom marmurowo-szklanego potwora współczesnej architektury. Mur był jeszcze zachlapany złotymi plamami słońca, ale już pierwsze cienie wsuwały się nań lilowymi woalami.

Falstą ulicą Quattro Fontanne dotarłem do „scalinaty” na Placu Hiszpańskim. Rumienił się jeszcze szpic egipskiego obeliska przed kościołem świętej Trójcy; dwie indyjskie palmy zanurzały swoje pióropusze w opalizującym niebie; na dachach kamienic z XVIII wieku, wśród sztucznych ogrodów, paliły się jeszcze szyby studiów malarskich; na kondygnacji schodów, jedynych w świecie i uwiecznionych w poezji i wodewilu, rozsiadła się barwna, różno-języczna gawiedź; amatorzy wznoszących panoram, zżarci nutą snobów, prowincjonalni pozery i zwykli śmiertelnicy, jak ja. Po prostu wszyscy, bowiem tutaj, w Rzymie, nie ma patentu na oryginał. Nie wzbudzi na tejsze „scalinacie” zainteresowania ani ekscentryczny jegomość w stylu Gerarda de Nerval z homarem na smyczy, ani muskularny młodzieniec w „blue jeans”, ani brodaty, zbławzany egzystencjalista; wszelka forma życia przeszłego czy współczesnego za-

ciera się tutaj, niby posąg w kramie zmiernchu. Jakże często spotyka się w Rzymie ludzi, leżących na kamiennych balustradach belwederów, lub na marmurowych ocebrowaniach fontan, zawsze pełnych tryskającej wody, zapatrzonych w jakiś punkt, zdawałoby się, nierealny. I czyż nie tak może zachowywał się nasz Wieszcza na Piazza del Popolo, pisząc swoje: „I o czym tu dumać na tym rzymskim bruku...”

Należałoby mi w końcu dotknąć naszego, odwiecznego tematu, tematu emigranta. W jakim innym mieście, jak właśnie nie w Rzymie, można by nam tak dogłębnie przeżywać naszą przeszłość? Dumając nad baśnią tych starych ruin, oplecionych bluszczem i trawą, zdobnych w polne kwiaty, machinalnie zwrócimy oczy w stronę naszej ojczyzny, która żyje i broni się, by dać świadectwo, iż „jeszcze nie zginęła” i że nigdy nie zginie, pomimo złej woli ludzi, chcących zrobić z niej pasierba nie tylko Europy, ale własnego narodu, żyjących sobie, z głupim wprost uporem, spauperyzowania i odebrania jej przebogatej historii, do

# Księstwo Warszawskie

Dokończenie ze str. 1-ej

wie całą władzę w ręku króla saskiego i Wielkiego Księcia Warszawskiego. Sejm istniał, ale był niemy i mógł tylko odrzucać projekty rządowe, za wyjątkiem projektu budżetu. Istniał też i senat, lecz nie miał większego znaczenia, jak sejm.

Król rządził Księstwem przy pomocy 6 ministrów, którzy wraz z referendarzami i osobno mianowanymi radcami — tworzyli Radę Stanu, czyli organ przyboczny władcy. Kraj cały był podzielony na 6 wyżej wymienionych departamentów z prefektami — zamiast dawnych województw i wojewodów — i na 60 powiatów z podprefektami; stworzono również rady departamentalne i powiatowe. Były to nowości francuskie, gdyż w dawnej Polsce nie znano biurokracji urzędniczej i płatnych urzędów.

Poza tym nowa konstytucja głosiła wolność i równość wszystkich obywateli Księstwa, lecz uchylała staropolskie „neminem captivabimus nisi lurre victum” (1). Jak twierdzą niektórzy historycy, była to najliberalniejsza konstytucja, jaką kiedykolwiek Napoleon podktował, a miała i tę dobrą stronę, że wprowadzała kodeks Napoleona, usuwając wiele praw lokalnych. Oczywiście, podobna reforma prawa mogła wprowadzić zrazu pewne zamieszanie, lecz ustało ono prawie natychmiast dzięki rozumnym staraniom ówczesnego ministra sprawiedliwości hr. Feliksa Łubińskiego, doświadczonego prawnika.

Był też chwilowy niepokój z powodu ślubów cywilnych, obok kościelnych, oraz rozwodów cywilnych. Lecz rzeczy ułożyły się szybko: śluby i rozwody cywilne dozwolone zostały tylko w Warszawie — prawdopodobnie ze względu na dużą ilość cudzoziemców i inowierców — gdzie indziej księża zachowali dawne prawa.

Zajęto się gorliwie szkolnictwem, a szczególnie szkołami początkowymi, miejskimi i wiejskimi, których liczba poważnie wzrosła za czasów Księstwa Warszawskiego, mimo trudnego położenia finansowego kraju. Życie umysłowe zaczyna też ożywać. Julian Ursyn Niemcewicz, który porzucił kraj, raz jako wiezień rosyjski, potem jako dobrowolny emigrant, przysyłający tylko od czasu do czasu swe wiersze z Ameryki, wezwany przez przyjaciół i przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wraca w r. 1807 do Warszawy i energicznie zabiera się do pracy. Poza pracą w Towarzystwie, pisze sztuki teatralne i, rzecz ciekawa, wcale udają mu się wodewile, jak „Giermkowie króla Jana”, naśladowanie z francuskiego (1808). Wraca też do swego ulubionego rodzaju, czyli do komedii obyczajowej i w dowcipnej sztuce „Samolub” (1811) przedstawia najdokładniej hr. Krasickiego, znanego sybarytę ówczesnego, oraz paszycyła Żaboklickiego, którego nazwał Żabstelem.

Obok niego pracują Ludwik Osiński, zięć Bogusławskiego, tłumacz i poeta, Kajetan Koźmian, referendarz stanu, ale i zagorzały poeta klasyki, młody Podlasiak, hr. Franciszek Wężyk, który już zaczyna buntować się przeciw klasycyzmowi, oraz dwaj młodzi i zdolni poeci, obaj wojskowi i obaj, niestety, poległi zbyt młodo w kampanii 1812 r., aby mogli być rozwinąć w pełni swój talent: Wincenty Reklewski i Andrzej Brodzinski, brat znanego poety i pisarza, Kazimierza. Sądząc ze ślicznego wiersza do narzeczonej, napisanego przed wymarszem w 1912 r.:

Czyliż Ojczyzny nie kochasz,  
o luba,  
że mi iść bronisz piersi stawić  
za nią?

Andrzej Brodzinski mógł być dać dużo poezji polskiej swego czasu.

Powieści brak. Był wprawdzie manuskrypt francuski powieści Jana hr. Potockiego, „Manuscrit trouvé à Saragossa”, ale wydany tylko w części

(1) Podług starego prawa polskiego nie wolno było uwięzić nikogo bez dowiedzenia mu winy.

czego niezdolni byłiby Francuzi, chcący się Wersalem, lub Hiszpanie, kłękający z pietyzmem u granitowych murów Eskurialu.

Ileż to Polaków przeszło po tym rzymskim bruku, jak po Via Sacra, wznosząc biało-czerwoną banderę, której żadna obca przemoc nie była zdolna do splamienia swym wrednym symbolem!

LILOWE mroki\* otulają Wieczne Miasto i unoszą je w przestworza. Brzmi spizowy głos dzwonów watykańskich, rozbyłskuje jasne oko Lartarni na Gianicolo, łśni w blasku księżycy romańska Santa Maria in Trastevere (pamiętająca triumfalny ingres Kardynała Wyszyńskiego), bieleje napuszony, sympatyczny profil Piłsudskiego przy alei z jego nazwiskiem...

Zapalają się gwiazdy, niby pod dotknięciem batuty niewidzialnego anioła; wznosi się wspaniała, milcząca symfonia w noc rzymską, pogodną. Jest to symfonia minionej chwały o raz tego, co wiecznie trwać będzie: Symfonia nieśmiertelności.

Henryk Czesław Sliwiński

w... Petersburgu!... Poza tym pierwsze próby powieściowe Anny z ks. Radziwiłłów hr. Mostowskiej, t.j. „Astolda, czyli nieszcześliwe skutki namietności”. Miała to być „historyczna” powieść z dziejów litewskich, w której dobrych chęci było wiele, ale historii mało... No i bardzo dobra, choć bez romansu, powieść Cypriana Godebskiego (ex-legionisty, pułkownika 8-go pułku piechoty Księstwa, poległego z chwałą pod Raszynem w 1809 r.), „Grenadier filozof, powieść prawdziwa, wyjęta z dziennika podróżnika”. Polak-legionista, sam przeszedłszy wiele, spotyka w Szwajcarii owego grenadiera-filozofa, który mu opowiada dzieje rewolucji francuskiej. Jak to w Tulonie, skąd sam był rodem, wymordowano setki mieszkańców dla uczynienia ich wolnymi, i nad umarłymi otworzono księgę praw człowieka. Wreszcie sławi Szwajcarię i wolność alpejskich pasterzy, jako jedynie istotną.

Jesienią 1807 r. zjeżdża do Warszawy król saski i wielki książę warszawski. Przyjazd jego poprzedziła w sierpniu bytność księcia Józefa Poniatowskiego w Dreźnie. Kłopotliwa to była dla obu stron wizyta. Na dworze saskim pamiętano dobrze, ile wycierpieć musiał w ostatnich latach swego panowania August III, dziad obecnego króla, od opozycji, na czele króleji stali Czartoryscy i Poniatowscy, oraz że Stanisław-August Poniatowski zwyciężył, jako kandy-

# PODSTĘP

PODOBNO w Kraju metody stalinowskie nie są już stosowane. Mówię podobno, gdyż ostatnie wydarzenia w Warszawie wskazywałyby na to, że reżym nie ma zamiaru od nich odstąpić. Tak jak nigdy nie odstąpił od nich w swej walce z patriotycznym uchodźstwem.

Od pewnego czasu organ reżymu do walki z emigracją, czyli tak zw. towarzystwo „Polonia”, zaspjuje niezależne nauczycielstwo we Francji swymi „propagatkami”, wysuwa najrozmaitsze propozycje, ostatnio zaczyna mu przysyłać książki i podręczniki szkolne, które ze względu na „zmianę kursu” nie nadają się do użytku szkolnego w Kraju.

Zjawisko to jest niezmiernie charakterystyczne i rzuca ciekawe światło na chwytły komunizm. We Kraju rzekomo jest „odwilż”. Stalinści rzekomo zostali odsunięci od wszystkiego. Wydano nowe podręczniki szkolne, z których ponoc usunięto kult największego kata ludzkości — Stalina. To wszystko rzekomo dzieje się w Kraju. Ale na Zachód, a w szczególności do Francji, na robotę propagandową przyjeżdżają właśnie stalinści. Ale emigrację reżym zarzuca podręcznikami szkolnymi, wydanymi w Kraju właśnie za czasów Bieruta. Czy naprawdę nikogo to nie uderza?

Ostatnio „Polonia” rozpowszechnia wśród emigracji pismo, w którym żąda od nauczycieli pracujących poza granicami Kraju odpowiedzi na takie oto pytania:

- 1) Ile dzieci uczęszcza do szkoły? Podajcie wiek i płeć.
- 2) Ile młodzieży macie na kursach wieczorowych lub w świetlicy?
- 3) Czy uczycie w szkole, w domu...?
- 4) Podać dokładne informacje o waszym życiu, jak również indywidualne warunki pracy.
- 5) Podać informacje o wszystkich nauczycielach polskich za granicą, którzy nie są jeszcze z nami w kontakcie.

Podkreśliłem to ostatnie zdanie. Nie ma bowiem żadnej wątpliwości, że zredagowała je Bezpieka. Ta wszechwładna Bezpieka z czasów stalinowskich. Ta Bezpieka, która bynajmniej nie została w Polsce zlikwidowana. Ta Bezpieka, która coraz bezzcelniej zaczyna działać wśród emigracji, coraz otwarciej szukać swych ofiar-agentów.

Wierzę, że niezależne nauczycielstwo jest świadome niebezpieczeństwa. Je-

# Londyńska prasa polska

Dokończenie ze str. 1-ej

Tyle — w wielkim skrócie — o „grubej rybie” polskiej prasy za granicą. Potem idą ryby pomniejsze, bo już tylko tygodniki. Na czele kroczy — najstarszy „Orzeł Biały” z Ryszardem Piestrzyńskim (doświadczony redaktor naczelny) oraz „Życie”, katolicki tygodnik religijno-społeczny; redaktor naczelny — Józef Kisielewski (nie mieszcząc Stefanem Kisielem) przedwojenny pisarz i publicysta. W „Życiu” pracuje też świetny Jan Bielatowicz, pisarz, eseista, krytyk.

Redaktorem „Gazety Niedzielnej”, której charakter wynika z samej nazwy, jest Tadeusz Borowicz, niedoszły przywódca wyprawy krzyżowej na SPK, o czym w swoim czasie donosiłem.

Przed trzema laty powstał „Głos Powszechny”, którego założycielem i redaktorem jest Zygmunt Kotowicz, przedwojenny dziennikarz-publicysta. Początkowo było to pismo „zamkowe”, obecnie jest „tygodnikiem niezależnym” (to jest podtytuł), zwalczającym „premera” Pałajka, poświęcającym dużo uwagi sprawom krajowym oraz omawiającym sytuację międzynarodową. Ciekawie redagowane pismo.

Niedawno temu (w tym roku) zrodziły się „Odgłosy”, „tygodnik informacyjno-publicystyczny” (podtytuł). Matką jego (redaktorem) jest: Karol Lewkowicz, przedwojenny dziennikarz. Ojciec (wydawca) — nie znany, a raczej nie ujawniony, bo „matka” podaje się również za „ojca”. Bądź jak bądź, „dziecko” jest rozbykane i rzuca się na wszystkich, a przy tym krzyczy, niezawodnie po to, aby je dostrzegano.

Ale i wśród tygodników mamy „grubą rybę”. Jest nią tygodnik „Wiadomości”, założony — jak powszechnie wiadomo — przed trzydziestu laty w Warszawie. Redaktorem „Wiadomości” jest Mieczysław Grydzewski, człowiek o dziwacznych obyczajach dziennikarskich, świetny redaktor, mąż o wielkiej erudycji, publicysta.

Do tygodników zalicza siebie pismo „Tygodnik”, choć nie ukazuje się co tydzień. Ten „informuje i służy wspólnej sprawie” (taki ma podtytuł). I tu jest zagadka, co to za „Wspólna sprawa”. Złosiłwi zaś (na tej podstawie, że są tam artykuły Stanisława Mackiewicz, Klaudiusza Hrabynka, Melchiora Wańkowicza) twierdzą, że tu chodzi o wspólną sprawę reżymu i emigracji, którą reżym usiłuje rozbić, aby pozyskać dla siebie. Redaktorem „Tygodnika” jest Jan Matlachowski, niedawno temu gorący zwolennik „zanku”.

Dwutygodników mamy trzy. „Myśl Polska” (dwutygodnik poświęcony życiu i kulturze Narodu — podtytuł. Przez czas dłuższy redaktorem naczelnym tego pisma był Wojciech Wasiutyński, przedwojenny pisarz i publicysta. Teraz mając tam zajęcie zmiany w związku z opuszczeniem przezeń Londynu.

Pismem Mikołajczyka jest „Jutro Polski”, a o niedawno powstałej „Rzeczypospolitej Polskiej” można by powiedzieć, że uprawia kult jednostki, bo jest wiernym organem p. Pałajka. Redaktorem jej jest Wacław Grubiński — gruba ryba! Poza tym piszą tam inne świetne pióra, jak Władysław Gunter, Ksawery Glinka.

Po dwutygodnikach idą miesięczniki: „Dziatwa” (dla dzieci), „Przeład Zachodni”, organ Związku Polskich Ziem Zachodnich (redaktor Paweł Hęciak, przedwojenny dziennikarz), „Robotnik”, centralny organ PPS, pod redakcją Adama Ciołkosza, „Poseł Ewan gelicki” (pismo Polaków-ewangelików za granicą, redaktor ks. bp Władysław Fierla), „Merkuriusz Polski” i „Życie Akademickie” (ukazuje się ósmy rok, redaktorem naczelny „Merkurysza” — Florian Śmieja, redaktor „Życia Akademickiego” — Maria Badowiczówna), „Ognio” — wydaje dla młodzieży Związek Harcerstwa Polskiego, „Młodzież idą”, pismo młodzieży socjalistycznej. Mamy ilustrowany magazyn humorystyczny - satyryczny „Pokrzywy”, jest „Sodalis Marianus”: redaktor — o. S. Skudrzyk, jest „Trybuna”, organ NiDu.

„Nasz Głos” — to dwumiesięcznik, organ Oddziału SPK W. Brytania.

Kwartalniki: „Bellona” (pismo wojskowo-histeryczne), „Niepodległość” — czasopismo poświęcone najnowszej historii Polski (redaktor: minister Karol Libicki, wydawca: Instytut Józefa Piłsudskiego), „Teki Historyczne” — organ Polskiego Towarzystwa Historycznego (redaktor prof. Henryk Paszkiewicz), „Znicz”, pismo dla młodzieży ZHP, pod redakcją H. Grażyńskiej.

Na tym kończę, zaznaczając, że liczbę polskich wydawnictw londyńskich właściwie nie wyczerpałem, bo są jeszcze pisma przeznaczone tylko dla członków, jak na przykład kwartalnik „Saper”, „Skrzydła” (miesięcznik), „Sygnały”, kwartalnik marynarzy.

Józef JASTRZEBSKI

„SYRENA”  
w każdym polskim domu!

Dokończenie na str. 4-tej

# LISTY DO REDAKCJI

„SZKODLIWE PISMO”

Drogi Panie Redaktorze,

Czytając skrupulatnie naszą „Syrenę” zwróciłem specjalną uwagę na „Nowinki londyńskie” p. Józefa Jastrzębskiego pod tytułem „Goście z Polski”, omawiające wystąpienia (nie wiem: pana czy obywatela?) Kisielewskiego.

Otóż ten (pan a może obywatel) Kisielewski oświadczył, że „uważa „Syrenę” za pismo szkodliwe”. Ale roztropnie i chytrze nie sprecyzował, komu nasa „Syrena” szkodzi. Ja ze swej strony mogę emisariuszowi reżymu Kisielewskiemu powiedzieć, że „Po prostu” też było pismem „szkodliwym”, skoro reżym je zamknął. Tak, to pismo było istotnie „szkodliwe”. My tu na emigracji pamiętamy artykuły młodego reportera, który właśnie w „Po prostu” opisywał życie polskiego Lwowa, zagrabionego przez „radzieckiego sojusznika”. Propagandystę Kisielewskiego i klicę obojętną jest polskość Lwowa. Ta ferajna nie protestowała przeciwko zamknięciu „Po prostu”, a może nawet do tego zamknięcia się przyczyniła. By przypoclebić się Chrzczeńcowi. A ponieważ „Syrena” przedrukowała z warszawskiego pisma studentckiego artykuły o Lwowie, przeto i ona jest „pismem szkodliwym”.

Obywatel Kisielewski wie dobrze, że „Syrena” jest bodaj jedynym pismem wśród wolnej emigracji polskiej, któ-

rego reżym nie zdołał wprowadzić w błąd tak zw. „odwilż”. Pismem, które nigdy nie przestało walczyć z komunistycznym okupantem Polski. Pismem, które ani na jotę nie zbroczyło z wytkniętej przez niepodległościową emigrację drogi. Pismem, które może być dumne ze swych artykułów, żądających w swoim czasie zwolnienia z więzienia Prymasa Polski. Czy dlatego ten dziwny „katolik” Kisielewski uznał to pismo za „szkodliwe”?

Na zakończenie swych wywodów p. Kisielewski nawoływał emigrację, by działała na rzecz Polski. Ale ja pamiętam artykuł Kisielewskiego w paryskiej „Kulturze”, w którym on twierdził, że Polska raz na zawsze „wybrała sobie miejsce w obozie sowieckim. I że do brzo rzekomo zrobiła. Bo, jak się wyraził, „nie można być głową na Zachodzie, a nogami na Wschodzie”. Otóż muszę powiedzieć, że my takich nawoływań nie potrzebujemy. I nie rozumiemy, po co się p. Kisielewski pęta po Zachodzie. Niech lepiej siedzi tam, gdzie istotnie jest jego miejsce: „z głową i z nogami na Wschodzie”.

Emigracja zawsze działała i będzie działała na rzecz Polski. I dla dobra całego naszego narodu. Pozostanie wierną idei Polski z Wilnem i Lwowem. Wierną idei tej Polski, jaką naród polski pod wodzą komendanta Józefa Piłsudskiego wywalczył.

Bronisław SZCZAPKA

Lille, 28. 10. 1957.

